

**Dziennik „Welt” z dnia 09.01.2010**

**Autor: Wolfgang Schneider**

### **Pokolenie dzwonek**

Nie gwizdź w publicznych toaletach melodii Schuberta – wyznania Steffena Möllera, fana klasyki

Muzyka klasyczna to kultura wysoka – przynajmniej w felietonach czy na Zielonym Wzgórzu w Bayreuth. Dorastający nastolatek, który nie kryje swego zachwytu Johanem Brahmem czy Ludwikiem van Beethovenem i – jak to czynił za młodu Steffen Möller – nawet na wycieczkach klasowych podsuwa kierowcy autobusu kasetę z muzyką klasyczną („żeby wreszcie puścił coś sensownego”), wystawia się na pośmiewisko.

Autor z żalem i skruchą opowiada nam o swojej zmarnowanej młodości. Podczas gdy jego szkolni koledzy szturmowali w weekend dyskoteki, on przesiadywał w wuppertalskiej filharmonii i wraz z wiekową publicznością wsłuchiwał się w dźwięki symfonii „Fantastycznej” Hectora Berlioz. Gdy dziś jako znany w Polsce kabareciarz opowiada o swojej młodzieńczej autostygmatyzacji przez klasykę, trafia w sedno poważnego problemu, który jest przyczyną jej zapaści. Wszyscy biją pokłony kulturze popularnej – nawet były minister spraw zagranicznych z ramienia SPD i dzisiejszy przewodniczący tej partii Frank-Walter Steinmeier zdradza, że tak naprawdę jest typem rokendrolowca, a minister obrony Theodor zu Guttenberg (w końcu syn dość znanego dyrygenta) w bejsbolówce i T-shircie pozuje do zdjęcia na koncercie AC/DC. Tylko kanclerz Angela Merkel niezmiennie pielgrzymuje do świątyni Ryszarda Wagnera na Zielonym Wzgórzu w Bayreuth. Czyżby nie wiedziała o tym, że zwrot ku Madonnie, Lady Gadze czy Amy Winehouse podbiły jej słupki popularności?

Muzyka nie jest czymś drugorzędnym, ona jest raczej – jak postuluje Steffen Möller - rodzajem ostatniej religii Zachodu. Decydujące niegdyś pytanie „W co wierzysz?” brzmi dzisiaj: „Czego słuchasz?” I tak oto klasyka jawi się jako muzyka grana przez sztywniaków we frakach dla starców czy kujonów. Jej zaśniedziałość jest znaczącą wadą w owych czasach, w których wszystko sprowadza się do cool pozy, a przynależność do różnych muzycznych fanklubów stabilizuje własne ego.

Dlatego też młodemu sympatykowi klasyki nie pozostaje nic innego, jak się za dźwiękoszczelnymi ścianami jak najszybciej zestarzeć. Dopiero po czterdziestce może zacząć powoli wychodzić do ludzi. I to właśnie robi teraz autor za pomocą swoich „zwierzeń słuchającego inaczej”. Wcześniejszy bestseller Möllera „Viva Polonia” pozwolił czytelnikom odkryć terra incognita – sąsiedzki kraj i jego mieszkańców. W „Vita Classica” także poznajemy nowe światy, znane tylko nielicznym, po których autor oprowadza nas z humorem i nie stroni od subiektywnych poglądów. Podobnie jak w wypadku „Viva Polonia” zagadnienia merytoryczne przeplatają się tu z opowieściami o osobistych, często dziwacznych doświadczeniach.

„Vita Classica” to autobiografia z melomanią w tle. „Möller mieszka dziś w działach muzyki poważnej Warszawy, Berlina, Mediolanu i Londynu”, czytamy na okładce. Z zamiłowaniem do detalu prezentuje on szczególną atmosferę tych przybytków sztuki, gdzie wśród uzależnionych mężczyzn rzadko widuje się kobiety.

Steffen Möller opisując swoje klasyczne uniesienia, staje się niepostrzeżenie oryginalnym orędownikiem zagrożonych dóbr kultury. Szczęśliwie udaje mu się uniknąć wpadania w konserwatywny ton „Ratujcie kulturę Zachodu!” czy napastliwej retoryki niektórych

popularyzatorów klasyki, którzy w luzackich słowach prezentują ją jako coś w rodzaju lepszego popu. Także o komercyjnych stacjach radiowych, które grają tylko łatwe utwory i zmysłowe adagia nie ma on najlepszego zdania. Möller widzi swoje miejsce wśród fanów Brucknera. Klasyka poza „Czterema porami roku” i „Carmina Burana”, poza „pogodnymi sonatami na flet i erotycznymi triami na harfę” wymaga jednak wyrobionego ucha, żeby móc się tym zachwycać. A zachwyt ten to przede wszystkim odczuwanie patosu pozbawionego kiczu. Wielkie, wzniosłe uczucia stanowią rzeczywisty kapitał tej muzyki, którego zaściankowy marketing muzyki poważnej nie umie właściwie spożytkować.

Prawdziwy urok tej książki nie tkwi jednak w tego typu sformułowaniach. Steffen Möller nie zamierza nawracać pokolenia „dzwonek” na Brucknera, choć książka pełna jest rozmaitych muzycznych wyjaśnień i ciekawych wskazówek. On pragnie pozbyć się ciężaru swojej historii, swojej powieści o formowaniu czy może raczej deformowaniu. Woli opowiadać niż argumentować. Komizm tych „wyznań” wzmaga motyw „outingu”, jakby autor z trudem przyznawał się do jakiejś perwersyjnej namiętności. W ten sposób doprawia on swoje wywody szczyptą paranoi, przytaczając np. „cztery przykazania maskujące dla fana klasyki”, a wśród nich: „nie gwizdź w publicznych toaletach melodii Schuberta”.

Steffen Möller urodził się w 1969 roku i należy do „generacji Golfa”. Swoją książką wystawia jednak kontrarachunek. Podczas gdy Florian Illies powoływał się na główne fetysze minionej kultury konsumpcji i telewizji i stworzył z tego zbiorową biografię utrzymaną w tonie „my”, Steffen Möller włamuje się do szuflady swojego pokolenia po raz drugi i rości sobie prawo do jednostkowych doświadczeń poprzez odejście od popkulturowego kodu.

„Vita Classica” jawi się w tym świetle jako oryginalna powieść antypopopowa, która oczywiście też całkiem nie może się bez popu obyć – choćby wtedy, gdy autor sam wspomina o swojej kasecie alibi z piosenkami Queenu, którą jako osiemnastolatek zawsze miał pod ręką w samochodzie, na wypadek, gdyby trzeba było podwieźć ładne dziewczyny, albo gdy opowiada, jak sprzedawał prele na stadionie podczas koncertu nieznanego mu zespołu Pink Floyd czy o szczęściu, że może w końcu słuchać współczesnej muzyki: na jakiś czas akurat wściekły grunge Nirvany zauroczył jego klasyczne uszy, gdyż autor odkrył w nim niespodziewanie bogatą żyłę patosu.

W książce znajdziemy dokładne opisy doświadczeń z dzieciństwa i opowieści o nieco dziwnych przeżyciach jako gwiazda telewizyjna w Polsce. Mimo miejscami rozwlekłego stylu autorowi udaje się cały czas utrzymać wiodący bas i ciekawie aranżować motywy klasyczne – jak choćby podczas nazbyt obszernego opisu pobytu w Omsku jako lektor niemieckiego. Tu Möller wtrąca, że nawet tam, na dalekiej Syberii, natrafił na osobliwego fanatyka muzyki klasycznej: snobistycznego pianistę, który wspaniale potrafił grać wariacje Diabelliego. Oczywiście nie te Beethowena (cóż za prostactwo!), lecz Anselma Hüttenbrennera.